

## Wspominki spod choinki

Boże Narodzenie wciąż – także w starszym wieku – pachnie wszelaką odświętnością: choinką, świeczkami, bombkami, czystymi oknami, śnieżnobiałym obrusem, prezentami, perfumami cioci, zupą grzybową...

Moje pierwsze wspomnienia świąteczne wiążą się jeszcze z Wilnem. Miałam trzy, może cztery lata. Siedziałam na podłodze pod choinką, obwieszoną mnóstwem owoców. Grzesząc łakomstwem, sięgnęłam po najbliższe czerwone jabłuszko, ugryzłam i... Nie pamiętałam bólu, tylko zdziwienie, a wokół rozległy się okrzyki: „Zostaw to, zostaw, wypluj to!”. Przybiegła mama, otarła mi chusteczką krwawiącą buzię pełną odłamków szklanej bombki. Nie odróżniłam natury od ozdóbki. Ale takich pięknych owoców na choince już nigdy potem nie widziałam. Była to moja pierwsza niezawiniona przykrość zmysłowa.

Chyba podczas tych samych Świąt tatuś zaprowadził mnie w gościnę do znajomej o imieniu Janka. Choinka u niej była jeszcze piękniejsza. Posadzono mnie przy wysokim blacie i poczęstowano czymś, co nazywało się legumina. Było jasnożółte, parowało i pachniało cudownie. W czasie wojny taki rarytas to było coś niezwykłego! Jednak, pamiętając o tym, że mama wypominała ojcu tę znajomość, mimo skrętu kiszek z przeogromnej chęci – nie tknęłam przysmaku. Tym razem przykrość zmysłowa była zawiniona. Potem w życiu jadałam różne budynie, kisiele, lody, słodkie desery, ale już nikt nigdy nie poczęstował mnie leguminą. Do tej pory nie mogę odżałować tamtej odmowy...

W Łodzi, w 1947 roku, rozpoczęłam naukę w szkole przy ulicy Składowej, realizując obowiązek szkolny. W klasie były zarówno małe dzieci, jak i ogromne, wyrosnięte dryblasy. Posadzono mnie z rówieśniczką, którą była Ela Granowska, pochodząca ze słynnej łódzkiej rodziny lodziarzy. Losowaliśmy adresatów upominków wzajemnych na Święta. Zachodziłam w głowę, co podarować, ale rodzicom udało się zdobyć cudo – ołówek z gumką. Dziś to żaden rarytas, ale wtedy... Zapakowałam prezent kolorowo, zawiązałam wstążeczką i czekałam z biciem serca na niespodziankę przeznaczoną dla mnie. Dostałam wielkie tekturowe pudło, w środku mniejsze, i tak dalej, i tak dalej, aż na końcu pojawiła się... brudna, podarta rękawiczka. Ktoś sobie brzydko zakpił. Przez najbliższe dni Ela, która dostała nowy zeszyt, serdecznie mnie pocieszała. Głęboka przykrość duchowa długo mnie bolała.



Dziesiątki następnych Świąt pamiętam już raczej pozytywnie. Czasem trochę komicznie. Kiedyś spadło na mnie nagle przygotowanie Wigilii. Byłam nastolatką, zupełnie zieloną kulinarnie. Oszczędzę szczegółów...

Przed pół wiekiem miałam w szpitalu w Kochanówce dyżur w Wigilię. Po złożeniu życzeń pacjentom (nielicznym, bo kto żyw poszedł na przepustkę do domu), zasiadłam do uroczystego posiłku z pielęgniarkami i salowymi. Poza menu szpitalnym każda z nas przyniosła coś własnego. Jedna z salowych, przemiła pani, miała syna marynarza i przyniosła węgorza. Ach, co to były wtedy za węgorki, nie to, co dziś – sam czysty plastik! Jako miłośniczka tej rybki wyraziłam sam zachwyt i entuzjazm.

Salowa powiedziała na to: „To ja pobiegnę do domu i przyniosę jeszcze”. Mieszkała tuż za murami szpitala. Pobiegła w służbowym fartuchu, a za chwilę wróciła z piękną, dłuuuugą sztuką. Podziękowałam za prezent, podzieliłam go na trzy równe części, aby z rodziną zjeść w pierwszy dzień Świąt. Dar wyniosłam ze szpitala w całości. Do domu jakoś nie doniosłam nic. Tak, no... grzechy główne także były ongiś bardziej znamienite i soczyste...

Krystyna Borysewicz-Charzyńska

Panaceum 12/2024-1/2025